

ęłęo Jest to tekst wykładu inaugurującego rok akademicki w Wyższej Szkole Bankowej w Poznaniu wygłoszony w październiku roku 2003. Opublikowany w dodatku do "Rzeczpospolitej" - "Ekonomia" 8. 11.2003 r.

Jesteśmy dziś na rozdrożu: jeśli wybierzemy dobrą drogę, powstaną przesłanki stabilnego rozwoju na przyzwoitym poziomie, jeśli złą - nastąpi powrót do słabości gospodarki, jakie ujawniły się w 1998 roku.

Krótki kurs historii transformacji

Poglądy na całość transformacji są bardzo mocno uzależnione od bieżącej sytuacji gospodarczej i wraz z nią falują. Ma to złe następstwa, bo za każdym razem żyjemy w nieprawdzie. Taką nieprawdą były w połowie lat 90. wyobrażenia o Polsce jako "tygrysie gospodarczym" Europy Środkowej i taką nieprawdą są wypowiedziane w ostatnich latach poglądy o nieudanej transformacji. Dotyczy to i opinii publicznej, i - co gorsza - polityków, którzy podejmują ważne decyzje.

Główne porażki gospodarcze obecnego rządu wynikły ze zmitologizowanego obrazu połowy lat 90.; premier, jego gabinet i zaplecze polityczne sądzili i sądzą, że ten obraz da się namalować ponownie.

Źródłem nadmiernego związania ocen całości z tym, co nastąpiło ostatnio, jest krótka pamięć. Celem artykułu jest jej odświeżenie - szybka wędrówka przez minione czternastolecie, pozwalająca, mam nadzieję, dostrzec korzenie wydarzeń zarówno ostatnich lat, jak i okresu, który jest przed nami. Do przejechania są trzy przystanki - do czwartego, być może, mamy jeszcze wybór autobusu.

Szok zderzenia z rynkiem: lata 1989 - 1992

Okres pierwszy - lata 1989 - 1992 - to czas zderzenia struktur gospodarczych komunizmu z rynkiem i wynikającego stąd kryzysu, wielkiego szoku doznanego przez społeczeństwo postawione nagle w zupełnie nowych sytuacjach. Był to także okres wzmacniania fundamentów i siły gospodarki, a zarazem gwałtownie rosnącego niezadowolenia społecznego, czas szczególnie dotkliwy dla ludzi i dobrze nadający się do atakowania. Polska była wtedy jedynym krajem zapaści gospodarczej, i to wielkiej, bo PKB spadł o 18 proc.

W programie SdRP z tamtego okresu było zdanie, że rządy solidarnościowe pod dyktando MFW i Banku Światowego wywołały katastrofę gospodarczą, bez precedensu w powojennej Europie. Ta opinia pokazała, jak trzeba być ostrożnym w ocenianiu sytuacji aktualnej, kiedy proces historyczny jest w toku. Bo dwa lata później było już jasne, że kryzys jest powszechny, a w Polsce łagodniejszy niż gdzie indziej. Polityka pierwszych rządów skróciła go i złagodziła oraz przyczyniła się do szybkiego wzrostu w latach następnych. Mimo to do dziś utrzymuje się wiele uprzedzeń o tym okresie, bywa on oceniany negatywnie, choć na to nie zasługuje. Symbolicznym wyrazem tej postawy jest trwająca nieufność do Leszka Balcerowicza, uosabiającego ówczesną politykę gospodarczą.

Z tamtego okresu pochodzą znane stereotypy; mity o skrajnym liberalizmie transformacji,

o wyprzedzaży majątku narodowego za bezcen, o prywatyzacji, jako źródle bezrobocia, o demonicznej roli kapitału zagranicznego i tak dalej. To pełen uprzedzeń sposób patrzenia na transformację. Traktowanie lat 1989 - 1992 w świadomości powszechnej jest przykładem istnienia w opinii publicznej bariery czy blokady percepcji, wskutek czego pewne prawdy nie są uznawane, "nie dają się sprzedać", za to inne znajdują łatwo masowych nabywców - nawet jeśli są kłamstwem. Te opinie mają zresztą lustrzane odbicie w następnym okresie.

Gorączkowy boom: lata 1993 - 1997.

W odbiorze publicznym, a także w opinii części elit, zwłaszcza bliskich SLD, uważa się te lata za złoty okres transformacji. Tę ocenę wspiera wiele liczb; tempo wzrostu sięgające 7 proc., przyrost PKB prawie o jedną trzecią, spektakularny wzrost inwestycji (o 88,5 proc.) i liczby miejsc pracy. Spadek bezrobocia z 14,3 do 10,3 proc., wysoki wzrost płac realnych (21,4 proc.), spożycia (27,7 proc.) i sprzedaży detalicznej, po pół miliona nowych samochodów na drogach co rok, niemal całkowity zanik strajków. Z pierwszego okresu Polska wychodziła jako "przodownica" w przewyżnianiu kryzysu. W drugim okresie we wszystkich niemal wskaźnikach była już rekordzistką wysforowaną daleko przed "bratnie kraje transformacyjne". Na Węgrzech PKB wzrósł w tym czasie o 10 proc., w Czechach o 14,6 proc., w Polsce o jedną trzecią, co umożliwiło istotne skrócenie dystansu wobec tych krajów pod względem PKB na osobę. To wtedy Polacy przeżyli "festiwal konsumpcyjny". Nie miała go ludność innych krajów pokomunistycznych, oprócz NRD wziętej na obfity garnuszek przez Niemcy. Te efekty ukryły ciemniejszą stronę tamtego okresu: zahamowanie dostosowywania gospodarki do rynku, utratę, także dzięki konsumowaniu, części przewagi konkurencyjnej wynikającej z korzystnych relacji wydajności pracy do wynagrodzeń, wreszcie stworzenie "potencjału destabilizacji", który objawił się pod koniec dekady, zmuszając do ostrego zahamowania dynamiki gospodarczej.

W swojej publicystyce zwracałem uwagę na czynniki szczególne, które działały w tamtym czasie na korzyść wzrostu: łatwość wejścia na rynek w pierwszych latach transformacji wskutek pustyń gospodarczych odziedziczonych po PRL w usługach, handlu, drobnej wytwórczości; przypadkowo korzystne ukształtowanie relacji cen i kursów, które zaowocowało eksplozją eksportu przygranicznego; korzystną dla Polski w pierwszej połowie lat 90. asymetrią w otwieraniu rynków z Unią Europejską; błędne, lecz korzystne dla Polski usztywnienie przez Rosję kursu rubla do dolara, na skutek czego kraj ten stał się na kilka lat gigantycznym odkurzaczem, wsysającym towary także od nas. Istotne znaczenie miała również niewiele odbiegająca od zera realna stopa procentowa na początku okresu i szybsza niż wzrost PKB ekspansja popytu wewnętrznego w ostatnich dwu latach.

W latach 1993 - 1997 gospodarka rozwijała się szybciej, niżby to wynikało z jej dostosowania do rynku, z osiągniętego stopnia transformacji. Lecz w miarę upływu czasu zanikały czynniki nadzwyczajne, a bardzo wysoki wzrost był podtrzymywany przez rosnący "doping" popytowy. Dynamika gospodarcza stawała się niestabilna, o czym zaświadczał gwałtownie rosnący deficyt rachunku obrotów bieżących. Gospodarka słabła, a samopoczucie społeczeństwa poprawiało się. Rósł mit o Polsce jako tygrysie gospodarczym Europy Środkowej.

To wyrażenie było zwieńczeniem ogólniejszego sposobu patrzenia na gospodarkę, który

trwa do dziś. Tak jak lata 1990 - 1992 zrodziły "uprzedzeniową" stronę popularnej świadomości o transformacji, tak lata 1993 - 1997 zrodziły stronę "złudzeniową". Kanonem złudzenia stało się (i pozostaje) przekonanie, że 6 - 7 proc. stopy wzrostu w długim okresie to coś przynależnego Polsce, co szybko osiągnęliśmy, potem utraciliśmy i możemy szybko i bez wielkiego mozółu odzyskać. O Polsce jako tygrysie dziś się nie mówi, bo to kłóciłoby się z realiami, ale utrzymuje się przekonanie, że do tej "Arkadii" z połowy minionej dekady można łatwo wrócić i zamieszkać w niej na stałe. "Tygrys" czeka niecierpliwie za kurtyną, by na pierwszy pozór sukcesu wrócić do słownika debaty publicznej. Lata 1993 - 1997, lata częściowo sztucznego, nietrwałego sukcesu, wniosły wyczuwalne w ocenach, choć niewypowiedziane wprost, niedobre przeświadczenie, że mogą być "wielkie kołaczki z niewielkiej pracy". Sąd, że po trzech latach transformacji kraj o gospodarce tworzonej pół wieku bez kontaktu z rynkiem może osiągnąć trwale "tygrysi", wyjątkowy na całej planecie wzrost, zaprzeczał rozsądkowi i chyba też prawom nauki.

Stagnacja i kuracja: lata 1999 - 2002.

W połowie roku 1998, równoległe z kryzysem rosyjskim i częściowo w jego następstwie, tempo wzrostu nieco spadło (z 6,4 proc. w pierwszym do 5,4 proc. w drugim kwartale). Władze rządowe, bankowe i analitycy owładnięci "tygrysim" mitem, ocenili, że to niegroźne wahnięcie związane z Rosją. Niestety, tempo wzrostu malało dalej, zaczęło też rosnać bezrobocie. Odślaniała się poważniejsza prawda, że powodem wyczerpania gospodarki nie jest kryzys rosyjski, lecz głębsze przyczyny. Gdyby NBP nie wierzył w "tygrysi" mit (czyli 6 - 7 proc. wzrostu), to by nie wprowadzał pięciu obniżek stóp procentowych w ciągu ośmiu miesięcy (z 24,5 do 15,5 proc.), ale by poczekał, pozwolił na opadnięcie koniunktury do poziomu, który gospodarka mogła udźwignąć. Obniżki podniosły tempo wzrostu z 1,5 do ponad 6 proc., ale deficyt na rachunku obrotów bieżących wzrósł z 4,4 proc. PKB w roku 1997 do 7,6 proc. w następnym, z perspektywą kryzysu walutowego.

Gospodarka podfrunęła niczym postrzelona kaczka, lecz było jasne, że nie utrzyma się na tym poziomie i trzeba rozpocząć jej schładzanie, żeby bez katastrofy sprowadzić ją na ścieżkę wolniejszego wzrostu. Bez tego gospodarka spadłaby głębiej, bo mielibyśmy kryzys. Schładzanie za pomocą trzech podwyżek stóp procentowych zapobiegło załamaniu. Wyznawcy "tygryziej mitologii" uznali je natomiast za pierwotną przyczynę stagnacji, uruchomioną zbędnie, bo przecież gospodarka mogła dalej rosnać bardzo szybko. Osłabienie tempa rozwoju, a potem dwuletnia stagnacja spowodowały - wraz z innymi niesprzyjającymi czynnikami - duży wzrost bezrobocia, istotne zwiększenie trudności zbytu na rynku krajowym, silne napięcia w finansach publicznych, drastyczne pogorszenie nastrojów społecznych, klęskę prawicy, powrót do władzy SLD i ponowne ożywienie społecznych niepokojów.

Ale jest i druga strona tego okresu, perspektywicznie ważniejsza. Jest to czas ponownego wzmocnienia siły i fundamentów gospodarki. Tym razem, w odróżnieniu od okresu wielkiego szoku, dokonywanego przez władze monetarną i sfery gospodarcze - niestety, dotychczas raczej bez udziału rządów. Wzmocnienie polega po pierwsze na sprowadzeniu inflacji z 12 proc. w roku 1998 do 1,9 proc. w roku 2002. Po drugie na wzroście społecznej wydajności pracy o 25 proc., czyli na dużej poprawie konkurencyjności. Po trzecie - i to najbardziej obiecujące - na zwiększeniu dynamiki eksportu (77,7 proc.) przy znacznie gorszej koniunkturze u naszych odbiorców i

równocześnie na znacznym zmniejszeniu tempa przyrostu importu (66,9 proc.). W poprzednim czteroleceniu ta relacja wynosiła jak 72 proc. do 113 proc. i była najgorsza zarówno wśród krajów przechodzących transformację, jak i w OECD (gorzej było tylko w Argentynie). W latach boomu byliśmy wielkim importerem netto, co załamało bilans obrotów bieżących i ściągnęło gospodarkę w dół.

Jest też inna ważna okoliczność: pierwszy raz od początku transformacji doszło do dużej zmiany struktury eksportu, co postulowano od dziesięcioleci. Przez cztery lata (1997 - 2001) udział produktów wysoko przetworzonych (maszyny, urządzenia, sprzęt transportowy, przyrządy) wzrósł z 22 do 37 proc. W czteroleceniu 1994 - 1997 był bez zmian. Ta, na razie, minirewolucja eksportowa dokonała się dzięki temu, że - inaczej niż w czasach boomu - dla wielu przedsiębiorstw rynek krajowy stał się trudniejszy od zagranicznego i popchnął je w kierunku eksportu. To jest droga, na której może się ukształtować bardzo nam potrzebna proeksportowa struktura gospodarki. Żadne wsparcia i preferencje nie dorównają "brzytwie na gardle", jaką jest trudny rynek krajowy. Tak więc okres od roku 1999 aż do dziś to także czas kuracji i wzmacniania postrzelonej kaczki, którą przypominała gospodarka po sztucznym boomie. Tej kuracji towarzyszy znów bardzo silny społeczny krzyk protestu, wyrażający się w sondażach i na ulicach.

Wyzdrowienie czy recydywa: lata 2003 -?

Dzisiejsza sytuacja jeszcze przypomina rozdroże; jeszcze możemy wybrać drogę. Droga dobra będzie nadal wzmacniać gospodarkę i tworzyć przesłanki przyzwoitego, stabilnego rozwoju, droga zła wywoła powrót tych słabości gospodarki, które ujawniły się w roku 1998.

Nie ma szybkiego i trwałego wzrostu bez wielkiego wysiłku całego społeczeństwa.

Teoria wzrostu mówi, że do jego uzyskania trzeba podnieść stopę akumulacji i inwestycji, czyli ograniczyć konsumpcję. Chyba że chcemy naśladować epokę Edwarda Gierka albo lata 1993 - 1997. Oba te okresy były erupcją życia ponad stan.

Ograniczenie konsumpcji, także rządowej, oznacza konflikt ze społeczeństwem - niekoniecznie gwałtowny, zawsze wyborczy. Jest to typowa sytuacja kolizji długiego horyzontu, jakim winna operować władza gospodarcza, z zawsze krótszym horyzontem ludzi, gospodarstw domowych. W takiej sytuacji niestety rzadko wygrywa spojrzenie długookresowe, bo aby tak się stało, władzę mieć musi ekipa silnie motywowana, i to nie przesłankami wyborczymi, lecz zrozumieniem racji kraju i względem na pamięć historyczną o sobie. Taka była ekipa Władysława Grabskiego w latach 20. i niewątpliwie ekipa Mazowieckiego, oczywiście także Leszek Balcerowicz. O wiele częściej kolizja ze społeczeństwem skraca horyzont patrzenia władzy z długofalowego na wyborczy, co skutkuje wyborem błędnej polityki. Coś takiego rysuje się obecnie.

Trzeba brać pod uwagę trwałą i przyzwoitą wzrost, jak się da 6- czy nawet 7-proc.

Pamiętajmy jednak, że to wielka rzadkość. Może więc 5-proc., a w długofalowej średniej 4-proc.? To też bardzo dużo, wymaga pilnej redukcji deficytu finansów publicznych, a równocześnie znalezienia pieniędzy na współfinansowanie projektów unijnych. W sferze finansów to jest priorytet. Redukcja deficytu to nie tylko kwestia uniknięcia kryzysu finansowego i ponownego załamania wzrostu, to także zmniejszenie dopingu dawanego gospodarce kosztem zadłużania państwa.

Po czterech latach trudnych dostosowań gospodarka sama przyśpiesza i trwają w niej wspomniane tu pozytywne przemiany, zwłaszcza być może ukształtowanie się jej proeksportowej struktury. Im dłużej rynek wewnętrzny pozostanie trudny, tym dłużej

trwał będzie przymus eksportowania. Nie ma w najnowszej historii przypadku kraju, który rozwijałby się trwale, wyraźnie szybciej niż otoczenie, bez wielkiego przebiecia eksportowego. Nawet w tak ludnym kraju jak Chiny to nie rynek wewnętrzny, lecz eksport czyni cuda.

Dlatego, biorąc pod uwagę perspektywy gospodarki, lepiej byłoby utrzymać przez najbliższe lata trudny rynek krajowy, silny przymus eksportowy, umiarkowaną 3-, góra 4-proc. stopę wzrostu niż odwrotnie. Obawiam się jednak, że z przyczyn czysto politycznych wybrane zostanie bądź już zostało wybrane to "odwrotnie", czyli próba ponownego sztucznego podgrzania gospodarki. Niestety, wzrost za wszelką cenę działa zawsze tylko na chwilę.